

Wydawca
Wn.
J. P.
w Łodzi

ROK VIII.

PRZEBÓJEM

MIESIĘCZNIK

№ 2. UCZNIOWSKI



DRUK J. CELKOWSKIEGO.
ROK ————— 1930

PRZEBOJEM

Miesięcznik uczniowski, poświęcony nauce i rozrywce.

Kutno nad Ochnią, dnia 15 Lutego 1930 r.

Warunki prenumeraty: Kwartalnie 1,50 zł. Półrocznie 3,00 zł. Rocznie 5,50 zł.

ROK VIII. | Cena 75 groszy z przesyłką 85 groszy | ZESZYT 2 (48).

TREŚĆ ZESZYTU 2-ego: Drogie Imieniny. Kilka słów o romantyzmie. Nowoczesność w poezji. Przedwiośnie. Nowoczesne drukarnie. Alkohol. Zapomnieć. Najmłodsze żłudy. Szlachetny czyn. Wytrwaj. Przedziwna podróż. Polowanie na wilki. Kronika. Rozrywki umysłowe.

Drogie Imieniny.

Dnia 1 lutego bieżącego roku obchodził Prezydent Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Naszej, prof. Ignacy Mościcki, swoje Imieniny. Do tych licznych życzeń, złożonych Czcigodnemu Solenizantowi przez najbliższe otoczenie, przedstawiciele sfer rządowych, dyplomatycznych i kół naukowych, dołącza i nasza redakcja, acz spóźnione, to jednak z głębi serca płynące życzenia: niech w tej wiązance życzeń, złożonej Dostojnemu Zwierzchnikowi przez całe społeczeństwo, zajmą choć skromne miejsce i świadczą o przywiązaniu i czci, należnej Głowie Państwa.

REDAKCJA.

Z okazji imienin przypomnijmy sobie i uświadommy koleje życia i dzieło tego pod każdym względem niepospolitego człowieka, jakim jest prof. I. Mościcki.

Ignacy Mościcki urodził się dnia 1 grudnia 1867 roku, w Mierzanowie, w ziemi Płockiej. Ojciec jego brał czynny udział w powstaniu styczniowym, a również matka ciałem i duszą była oddana sprawie patriotycznej.

Przekazali więc synowi gorące uczucie miłości Ojczyzny, ucząc własnym przykładem, że nawet największe ofiary trzeba dla Niej ponosić. Po latach dzieciństwa, spędzonych kolejno w Mierzanowie, Klicach, a następnie w Skierbieszowie w Ziemi Lubelskiej, rodzice oddali syna do szkół, gdzie odrazu wyróżnił się wybitnymi zdolnościami i niepospolitą inteligencją. Wykształcenie średnie odebrał Ignacy Mościcki w Warszawie, a czując powołanie do nauk technicznych, wyjechał do Rygi, gdzie zapisał się na wydział chemji technicznej na Politechnice tamtejszej. W Rydze studjował blisko pięć lat, od stycznia 1887 do października 1891 roku. Po powrocie do Warszawy Ignacy Mościcki wziął czynny udział w ruchu niepodległościowym młodzieży akademickiej, co ściągnęło nań uwagę władz rosyjskich i zmusiło do opuszczenia kraju w r. 1892.

Tułaczką jego trwała lat blisko 20.

Pierwszym jej etapem był Londyn. Pięcioletni pobyt Ignacego Mościckiego w Anglii był wypełniony żmudną pracą zarobkową, udaremniającą wszelkie swobodniejsze badania naukowe (nie licząc dorywczych zajęć w „Technical College, Finsbury“ i „Patent-Library“). W Londynie zawarł Ignacy Mościcki znajomość z J. Piłsudskim. Opuściwszy w 1897 roku Londyn, udał się do Szwajcarii, gdzie przebywał do roku 1912. Pełnił tam najpierw obowiązki asystenta przy katedrze fizyki prof. Józefa Kowalskiego w uniwersytecie we Fryburgu, uzupełniając jednocześnie swą wiedzę fizyczno-matematyczną i elektrotechniczną. W jesieni 1901 roku rzuca asystenturę. Staje na czele towarzystwa akcyjnego, utworzonego specjalnie dla realizacji jego prac doświadczalnych i oddaje się od tej pory swobodnej, niezmordowanej twórczej pracy technicznej. Okres od roku 1901 do roku 1912, w którym to roku Ignacy Mościcki został dekretem z dnia 9 sierpnia t. r. powołany na stanowisko profesora elektrochemji i chemji politechniki lwowskiej, — to okres najbardziej wyężonej i skupionej pracy, a zarazem doniosłych wynalazków.

Zasługi Ignacego Mościckiego w dziedzinie wynalazczej są olbrzymie i zdobyły mu sławę jednego z największych chemików współczesnych. Jako naukowiec, cechuje Ignacego Mościckiego niezwalczona żądza poznania, jako człowieka — niezmierne poczucie odpowiedzialności i niepożyta energja. Stwarza to typ człowieka, który nie zraża się pierwszą lepszą napotkaną przeszkodą, ale stara się ją usunąć i mimo wszystko dojść do celu. Główna zasługa genialnego chemika polega na tem, że potrafił on znaleźć lepsze, tańsze i praktyczniejsze sposoby wytwarzania związków azotowych i otrzymywania kwasu azotowego, będącego podstawowym czynnikiem w zakresie produkcji chemikaljów, tak organicznych jak i nieorganicznych. Po licznych badaniach, w czasie których powstał szereg innych wynalazków, doszedł Ignacy Mościcki do konstrukcji takiego pieca, który, przy małym zużyciu energii, zapewnia dużą wydajność i w rezultacie wytwarza 40-procentowy kwas azotowy. Również choć krótką wzmianką należy się pracom wynalazcy w dziedzinie otrzymywania nowym sposobem żółtych i czerwonych żelazocjanów z powietrza i koksu oraz pracom, poświęconym kondensatorom i prądowi o wysokim napięciu. Powyższe momenty zdecydowały w sposób rozstrzygający o powołaniu Ignacego Mościckiego na kierownika zakładów chorzowskich, przypadłych Polsce po odzyskaniu części Górnego Śląska. Z tego zadania wywiązał się on znakomicie.

Powołany do Chorzowa, musiał opuścić lwowską placówkę pracy, gdzie zasłużył się ogromnie około organizowania nowopowstającego Instytutu Elektrochemicznego, gdzie na przełomie 1913/14 r. opracował projekty dwóch fabryk: fabryki kwasu azotowego w Milunie (w Alzacji) i żelazocjanu sodowego w Borach (pod Jaworzniem). W jesieni 1916 r. powstała na terenie lwowskim z inicjatywy prof. Mościckiego nowa placówka badań naukowych i technicznych pod nazwą „Metan“. W roku 1922 instytut „Metan“ przeniesiono do Warszawy, nadając mu nazwę „Chemiczny Instytut Badawczy“. W czasie pobytu we Lwowie

zajmował się prof. Mościcki również żywo dziedziną rafinerji ropy naftowej, a zainteresowania te pomyslnym zostały uwieńczone skutkiem. Wyniki działalności prof. Ignacego Mościckiego na stanowisku naczelnego kierownika zakładów Chorzowskich należą do najchlubniejszych i najważniejszych rezultatów jego życia. Trzeba było fabrykę, znajdującą się w stanie prawie że zupełnego zniszczenia, odpowiednio zremontować i uruchomić, a dalej tak udoskonalić i usprawnić produkcję, aby ogólny bilans uczynić dodatnim. Wszystkie te trudności zostały w krótkim czasie, dzięki niezłomowanej pracy prof. Mościckiego i pomocy ze strony odpowiednio zebranego personelu fabrycznego szczęśliwie usunięte. Już w r. 1924 bilans fabryki poraz pierwszy od czasu jej założenia okazał się dodatni.

W roku następnym zdołano doprowadzić do tego, że również produkcja azotniaku, głównego artykułu fabryki chorzowskiej, zaczęła przynosić dochody. Wzrost produkcji azotniaku najlepiej zilustrują cyfry: w r. 1923 wyprodukowano 39.371 ton azotniaku, w r. 1924 — 51.026 ton, w r. 1925 — 85.754 ton, a w r. 1926 — już 117.931 ton. Fabryka w Chorzowie, rozwijając się z każdym rokiem coraz lepiej, nie poprzestała na samej tylko produkcji azotniaku, ale zaczęła także wytwarzać amonjak, kwas azotowy, saletrę amonową, azotan amonowy, a z wiosną 1926 r. saletrę chorzowską „Nitrofos“, mającą dla rolnictwa wielkie znaczenie.

Dziełem myśli twórczej prof. Mościckiego, poczętem za czasów pobytu w Chorzowie, jest fabryka pod Tarnowem, o której otwarciu pod nazwą „Mościce“ niedawno doniosły dzienniki i radjostacje, oraz fabryka w Knurowie na Górnym Śląsku, znajdująca się jeszcze w stadjum budowy.

Tymczasem nadeszły wypadki, które prof. Ignacego Mościckiego miały postawić na czele Państwa.

Po zamachu stanu w r. 1926 prof. Ignacy Mościcki został dnia 1 czerwca wybrany Prezydentem Państwa. Sprawy fabryki chorzowskiej sprowadziły go właśnie były do Warszawy. Gdy po dokonanym

przez Zgromadzenie Narodowe wyborze udali się do niego: premier Bartel, Wicemarszałek Sejmu p. Dębski i Marszałek Senatu p. Trąpczyński z zapytaniem, czy wybór przyjmuje, prof. Mościcki odpowiedział:

— Jest to moim obowiązkiem.

O latach ostatnich pisać nie potrzebuję. Profesora Mościckiego, jako Prezydenta Rzeczypospolitej, znamy wszyscy, choćby z portretów w salach szkolnych. I przypominamy sobie to wskazanie, jakie rzucił narodowi w swem orędziu przy obejmowaniu urzędu Prezydenta:

„Niechaj wspomnienia niedawnej rozterki staną się podniętą do skupienia żywotnych sił Narodu w pracy zbiorowej nad wywyższeniem imienia Polski.

Niech imię to jaśnieje pełnią blasków, szlachetności i mocy. Niech Naród polski będzie pierwszym w szeregu narodów, budujących przyszłość ludzkości na zgodnej współpracy ludów“.

ST. SZYMAŃSKI kl. VIII-ma.

Kilka słów o romantyzmie.

Na przełomie wieku XVIII-go i XIX-go dokonała się w zachodniej Europie, przeważnie w Niemczech i Anglii, ważna przemiana pojęć estetycznych. Klasycyzm, który wszechwładnie panował w ówczesnym świecie kulturalnym, przeżył się już zupełnie i nie mógł zaspokoić coraz to nowych potrzeb ducha ludzkiego. Bałwochwaleza wiara w wielkość i moc rozumu została zachwiana zarówno przez badania naukowe, jak i przez nowopowstający prąd, zwany „Romantyzmem“. W dziedzinie badań naukowych wstąpił się szczególnie filozof Imanuel Kant; który udowodnił, że rozum ludzki jest ograniczony i zdolny tylko do poznania pewnych, z góry zakreślonych prawd. Tem twierdzeniem zbił on dotychczasowe tezy, które głosiły, że rozum ludzki jest nieomylny i że zapomocą niego można poznać wszystkie prawdy. Skoro więc wszechmoc i potęga rozumu runęła, zaczęły nabierać coraz to większego znaczenia pierwiastki irracjonalne: wyobraźnia, instynkt, uczucie i intuicja. Pierwiastki te ujawniały się już nawet w literaturze średniowiecznej; ale od chwili, gdy przejęto się ogólnie klasycyzmem, zostały one zapomniane.

ne i usunięte z twórczości poetyckiej. W wiekach średnich przejęli się niemi głównie trubadurowie, bardowie i minnesängerzy, którzy w pieśniach swych wyrażali sentymentalność, uczciwość, poczucie honoru i miłości. Gdy więc w świecie kulturalnym pierwiastki irracjonalne zaczęły nabierać coraz to większej wartości, zwrócono się z zapałem do poezji i do tego wszystkiego, co miało związek z wiekami średnimi. Nawet zabobony i wiara w duchy, tak bardzo w owych czasach rozpowszechnione, znalazły miejsce w nowo tworzącej się poezji romantycznej.

Nasunęłoby się teraz pytanie, skąd się wzięła nazwa odrazającego się prądu „Romantyzm“. Otóż poezja rycerska w wiekach średnich zrodziła się wśród ludów romańskich, dlatego też nazywają ją romantyczną.

Możnaby też nazwę romantyzmu wywieść od *R o m a, l i n g u a r o m a n a*, oznaczało to język ludowy, który był pierwowzorem języków romańskich. Romantyczny pogląd na świat wychodził z tego założenia, że prawdziwą wartość ma świat ducha. Każdy więc twórca romantyk, nie mogąc znaleźć zaspokojenia porywów swej duszy na świecie rzeczywistym, pozbawionym wyższych ideałów i wznioślejszych dążeń, mimowoli odwraca się od niego i wchodzi w świat nowy, w świat ducha, pełny tajemniczości i nieprzepartego uroku. Romantyzm więc stwarza w twórcy pesymistyczny pogląd na świat realny, odwraca od niego rozkosze życiowe, strąca go w samotność i prowadzi do krańcowego indywidualizmu.

Wszystkie te przemiany pojęć estetycznych dotarły także i do Polski i znalazły przychylnie przyjęcie. Już bowiem w czasach Stanisławowskich niektórzy poeci weszli na nową drogę i przejęli się nowym prądem. „Wiesław“ Brodzińskiego jest już utworem nawskroś romantycznym. Występuje tu już bardzo wyraźnie pierwiastek ludowy. Brodziński szukał odmłodzenia ducha i form poezji romantycznej wśród ludu. W odmiennej formie, bez przesadnego wyrażania swych uczuć, opiewa on postacie rodzime i ojczyzną ziemię, podnosząc w ten sposób wartość pierwiastka narodowego i budząc przywiązanie i miłość do ojczyzny.

Jednak pierwiastek narodowy ujawnił się najwidoczniej w twórczości nowszych romantyków. Tu on dojrzał i stał się jedną z najcharakterystyczniejszych cech naszej poezji romantycznej. Twórczość Brodzińskiego jest tu jakby jutrzennką, zwiastującą ukazanie się słońca w postaci Mickiewicza. Twórca ten już śmiało wstępuje w szranki, by walczyć z klasycyzmem, chociaż wiedział, że wprowadzenie nowego prądu do literatury nie obejdzie się bez zaciętej walki ze starym.

To też w twórczości mickiewiczowskiej widać wyraźnie, do czego on dąży i jak stopniowo zrywa z klasycyzmem,

przechodzi na łono romantyzmu. Uwydatnia się to zwłaszcza w jego młodzieńczej pracy literackiej. W utworze swym p. t. „Pierwiosnek“ odnosi się Mickiewicz do romantyzmu z pewnem wahaniem. Obawia się, że nowo-powstały prąd zawczasie wypowiedział walkę potężnemu klasycyzmowi, nie mając jeszcze trwałych podstaw. W innym zaś utworze, a mianowicie w „Odzie do młodości“ zmienia już Mickiewicz swe wyczekujące stanowisko i bez wahania przechyla się na stronę romantyzmu. Natomiast w „Romantyczności“ zrywa już zupełnie z klasycyzmem. Świadczy o tem wymownie dwuwiersz, wyjęty z tego utworu:

„Czucie i wiara silniej mówi do mnie,
Niż mędra szkielek i oko“.

Mickiewicz, stając w obronie romantyzmu, zwraca uwagę zwolennikom klasycyzmu, że chcąc zniszczyć w poezji naszej cechę romantyczną, „potrzeba wprzód zmienić charakter narodów, a co nie jest w mocy teorytyków“. Nasza więc poezja romantyczna powstała na gruncie nowych potrzeb ludowych narodu i, chociaż kształtowała się przeważnie według wzorów i form obcych, to jednak, mimo tych wpływów, ma ona odrębny charakter narodowy. Odtwarza ona w całej pełni świat polski ze wszystkimi jego zaletami i wadami.

Od tej chwili w utworach naszej poezji romantycznej dominującą rolę odgrywają: przyroda, tradycja, zwyczaje a nawet stroje i potrawy, co się da bardzo łatwo zauważyć w „Panu Tadeuszu“ Mickiewicza.

Główną cechą dawnej poezji była wykwinna forma, która harmonizowała z treścią utworu, zaczerpniętą z dzieł starożytnych. W tych utworach, o zgóry nakreślonych formach, przeważał głównie rozsądek i dowcip, brakowało natomiast natchnienia, polotu myśli, fantazji, uczucia. Taraz zaś romantycy całe piękno poezji czerpią nie z dzieł starożytnych, jak to czynili klasycy, lecz z własnego serca i natchnienia. Wyznawcy nowego prądu zrywają z oburzeniem więzy, krępujące bogactwo i różnorodność ducha ludzkiego, a także z lekceważeniem odnoszą się do dawnej formy utworów, wprowadzając często do swych dzieł niejasność, zawilgość i tajemniczość treści. Klasycy starali się nie dopuszczać do poezji wyrażen pospolitych, utrzymując ją ciągle pod względem językowym na wyżynach doskonałości. Inaczej zupełnie na tę sprawę zapatrują się romantycy. Oni to właśnie wprowadzili do poezji gware, charakteryzując w ten sposób odrębność mowy pewnych części swego kraju.

Daje się to zauważyć u Mickiewicza, który wprowadził do poezji gware litewską, a Goszczyński ukraińską. Również

i styl romantyków jest już zupełnie odmienny od poprzedniego, brak tu już zupełnie sztuczności i monotoności.

Romantyzm więc był prądem duchowym, który wyzwolił twórców z krępujących pęt klasycyzmu. Jednak prąd ten nie obejmował tylko literatury, ujawnił się on też wyraźnie w dziedzinie sztuk pięknych i wogóle w całym życiu kulturalnym i umysłowym Europy.

Niczem nie skrupowana, indywidualna swoboda stała się teraz główną cechą wszelkiej twórczości artystów.

L. KUNCEWICZ. Kł. VII.

Nowoczesność w poezji.

I. UGRUPOWANIA, A PROGRAMY.

Pojęciem nowoczesności żonglowano lekkomyślnie zawsze i wszędzie. Zawsze, obok rozumnych dążeń do nowych, udoskonalonych form, ukazywały się falsyfikaty nowoczesności, kryjące pod pokrywką oryginalności i nowatorstwa nieudolne naśladownictwa, rodzących się dopiero, więc jeszcze nieznanymi prądów. Nietrudno jest przywdziać nimb poetycki pierwszemu lepszemu „rymarzowi”, jakby to nie były mgły olimpijskie, ale watowany płaszc. Publiczność jest krańcowa: albo a p r i o r i nie dopuszcza żadnych inowacyj w danej dziedzinie, albo bezkrytycznie uznaje piękno, którego nie rozumie. W tych warunkach starczy nieco sprytu i błyskotliwego dyletantyzmu, by miernie uzdolniona jednostka stała się apostołem nowatorstwa w jakimś odłamie sztuki, czy literatury. Dzieje się to tem łatwiej, że dla nowych form nie ma żadnych praw przynależności, pod żadną z istniejących kategorii podciągnąć ich nie można. Jedyną miarą jest tu smak artystyczny, obserwującej nowy kierunek jednostki. Stąd właśnie wypływa owa krańcowość opinii: smak, wyszkolony na poezji, ograniczonej dawnymi, zaśniedziałymi prawami albo nie może uznać nowej, opartej na zupełnie różnych środkach artystycznych, albo, gdy pod wpływem sugestji, załamie się rusztowanie gmachu pewników estetycznych, uznaje wszystkie, najbardziej rewelacyjne i rewolucyjne teorie.

Wielkie indywidualności nie są źródłami prądów umysłowych, tylko ich wyrazicielami. Prądy te, w najgłębszych swoich podstawach, rodzą się z mas i ich nastroju myślowego, kształtującego się pod wpływem t. zw. ducha czasu. Z tych dopiero nastrojów i niesformułowanych jeszcze dążeń powstają teorie, opracowane przez indywidualności silniejsze i bardziej twórcze.

Krzyżowanie się i ścieranie takich teorii warunkuje powstawanie grup i obozów, koncentrujących się koło ludzi wybitniejszych, twórców i myślicieli głębszych. Na podstawie danych historycznych można już teraz wyobrazić sobie mechanizm tworzenia się grup poetyckich. Charakterystycznym przykładem jest powstawanie grupy „Młodej Polski”, szczególnie ważnej dla naszej poezji, jednoczyła ona bowiem ludzi, którzy naprawdę pchnęli sztukę na nowe tory.

Powstała na gruzach pozytywizmu nowa poezja od razu została ujęta w pewne ramy. Spiżowy dźwięk manifestów, głoszonych na łamach krakowskiego „Życia” i warszawskiej „Chimery”, dotarł do wielu serc i mózgów i nie pozostał bez echa. Zdawano sobie sprawę, że skostniała w formułkach poezja nie może spełnić zadania. Trzeba było coś zmieniać, burzyć i budować, ale co i jak, musieli orzec ludzie, umiejący tworzyć w najgłębszym tego słowa znaczeniu. Ludzie tacy znaleźli się. Programy Górskiego i Przesmyckiego (Miriam) niweczyły stare formy, były żywym wołaniem o wolność poetycką, wypowiadały bój pogrążaniu poezji w męty życia, a zapowiadały przyznanie jej dominującego w nim znaczenia. Z drugiej strony domagano się skreślenia dawnych kanonów tworzenia. Nie burzono świątyń — rwano tylko kajdany.

Stare przesady, krępujące wiersz, ograniczając go do strof klasycznego francuskiego „aleksandrynu” musiały być zerwane. Wybitny znawca i tłumacz poezji francuskiej, Antoni Lange, pierwszy chwycił za broń, za nim poszli inni. Zniesiono *en j a b e m e n t*, wywalczono *a s o n a n s*. Zasłużony już wówczas pisarz, Przybyszewski, rzucił w świat pęk nowych prawd, które, przeczuwane, żyły w wielu umysłach, należało je tylko wyrazić. Sztuka, a w szczególności poezja, musi się, według niego, uwolnić z naleciałości utylitaryzmu. Musi ona stanowić cel sama dla siebie. „Jest absolutem, bo jest odbiciem absolutu, duszy”. „Sztuka tendencyjna, pisze dalej, przestaje być sztuką, a staje się biblią *pauperum* dla ludzi, którzy nie umieją myśleć”.

Ważnym krokiem było oparcie twórczości na gruncie narodowym, bo „w narodzie tkwią korzenie artysty”. Nie są to wszystkie wskazania odrodzieńczego prądu, nie one zresztą stanowią istotę nowoczesności poezji XX-go wieku. Hasła, rzucone przez „Młodą Polskę”, zmieniano i przekształcano wielokrotnie, dołączając do nich nowe. Uświadczenie skodyfikowania wszystkich poglądów i haseł byłoby w założeniu bezcelowe, w wykonaniu niezmiernie trudne.

Twórczość postępową może się stosować, lub nie, do wskazań dnia wczorajszego, ale nie powinna się na nich opierać, a niewolno jej ograniczać się nimi. Powtarzam: nie taki, czy inny manifest literacki wytycza kierunek twórczości

danej epoki. Są to objawy przemijające, aktualne i podstawowo ważne tylko dla danej chwili, jeśli chodzi o rozwój czystej sztuki. Stanowią jednak ogromne bogactwo Narodu, jako pomniki kultury i jako materiał wychowawczy dla młodych pokoleń.

Gdy bierze się do ręki poezje członków różnych najnowszych ugrupowań literackich, np. „Skamandra”, „Czartaka”, „Kwadrygi”, „Rytmu”, „Zwrotnicy”, czy „Meteoru”, wyczuwa się odrazu pewną odrębność grupową. Różnice można również poznać przez zestawianie teoretycznych programów, umieszczanych w sztandarowych pismach, jednak wtedy ma się do czynienia z objawem wtórnym. Istotnych powodów różnicowania się kierunków poetyckich należy szukać w pewnym, bardzo ogólnikowo wyrażonym światopoglądzie grupy, urobionym raczej przez ścieranie się zdań, niż dzięki jakimś programowym wystąpieniom jednostek.

J. PODCZASKI. Kl. VIII.

Przedwiośnie.

Wiosna zapach ma ziemi, a spojrzenie kwiatów,
uśmiech słońca, przez świerki przesianego rano,
gdy rosa jeszcze płonie przed ołtarzem Pana
po Mszy rannej, misterjum Odkupienia Świata.

Wiosna uśmiech ma trawy zielonej, najpierwszej,
grzejącej się cichutko na słonecznej łące.
Serce, złoty słonecznik, twarz zwraca za słońcem
i szepce mi do ucha jakieś dziwne wiersze.

— Choćbyście zapewniali mnie, że wiosny niema,
że jeszcze jest ogromnie, ogromnie daleko,
Nie wierzę! Przecież siwe opary się wloką
po mych wiosennych myśli królewskich djademach.

Nie wierzę! Przecież pola, brunatne kobierce,
pachną nią i obłoki chwieją się radośnie,
gwarząc o niej, o jasnej, nieuchwytej Wiośnie,
która przecież już dawno kwitnie w naszych sercach.

J. PODCZASKI kl. VIII.

Nowoczesne drukarnie.

Pierwsza drukowana książka pojawiła się w 1457 r. Od tej chwili upłynęło bardzo wiele czasu, podczas którego wraz z szybko postępującym naprzód rozwojem techniki

wprowadzano ciągle nowe ulepszenia w dziedzinie drukarskiej. Z pojawieniem się kolei żelaznych wzrosła możność rozsyłania drukowanego słowa aż do najbardziej odległych zakątków kraju, ce przyczyniło się w znacznej mierze do prędszego rozwoju dziennikarstwa. Jak niegdyś groźnym dla dziennikarstwa konkurentem był telegraf, tak dzisiaj jest nim bardzo szybko rozwijająca się radjofonja.

Im szybsze były środki lokomocji, tem mniej mieli wydawcy czasu do wydrukowania pisma, gdyż gazeta powinna wyprzedzić wszelkie inne środki, mogące o zaszytych wydarzeniach powiadomić czytelnika, a ponieważ o przyspieszeniu tempa pracy ludzi nie mogło być mowy, poczęto rozmyślać nad tem, jakimi maszynami możnaby zastąpić żmudną pracę ręczną. Rozmyślenia miały widocznie dobry skutek, gdyż takie maszyny dzisiaj już posiadamy. Dawniej czcionki składano ręcznie, dziś pracę tę wykonywują maszyny o wiele prędszej i lepiej od człowieka, są to tak zwane linotypy, oraz podobnie działające typografy i monoliny. Zamiast powolnego wyjmowania czcionek z kaszty, dzisiejszy zecer naciska tylko odpowiednie klawisze. Za każdym naciśnięciem z umieszczonych u góry kaset zsuwa się matryca, posiadająca wyżłobienie danej litery. Matryce te układają się koło siebie i w ten sposób powstaje negatyw całego wiersza. W formę wlewa się roztopiony ołów i po krótkiej chwili maszyna wyrzuca sztabkę ołowianą, na której wierzchu widnieje cały, wypukłymi literami przed chwilą ułożony wiersz. Poszczególne wiersze, ułożone jedne pod drugimi, dają nam całą stronę. Jeżeli dany tekst ma być drukowany w niewielkim nakładzie, to idzie on odrazu w tej formie na maszyny płaskie, jeśli zaś musi posiadać większy nakład i ma być szybko wydrukowany na maszynach rotacyjnych, tekst taki musi przejść jeszcze kilkakrotnie przezobrażeń. Sama nazwa maszyny rotacyjnej wskazuje nam na to, że drukowanie odbywa się przez ruch obrotowy na bardzo długiej taśmie papieru. Stronice ułożone płasko do tego się nie nadają, należy więc z płaskiej przejść na okrągłą. Na gotowy, płaski tekst nakłada się odpowiednio spreparowaną, wilgotną masę papierową, a następnie wywiera się na tę masę wraz z czcionkami bardzo duże ciśnienie, pod wpływem którego masa papierowa wciska się między literki czcionek i tak szczerlnie wypełnia wszystkie najdrobniejsze szczelinki, że najsubtelniejsze ilustracje odbijają się na niej bez zarzutu. Cały ten zabieg trwa zaledwie kilka minut. Po wyjęciu z pod prasy otrzymujemy pozytywne odbicie na stronie z masy papierowej, które następnie wygina się w odpowiedniej formie, aż do chwili otrzymania połowy waleca. Dwie strony razem złą-

czne tworzą pełny walec. Z tak spreparowanego walca robi się odlew ze stopu łatwotopliwych metali.

Otrzymany walec metalowy przyczepia się do wału maszyny rotacyjnej i po kilku próbach można rozpocząć drukowanie. Artykuły opisowe, kronika i ogłoszenia są już zawczasu przygotowane, a tylko wiadomości telegraficzne i zdarzenia z ostatnich godzin są składane w ostatniej chwili, na kilkanaście minut przed rozpoczęciem druku. Dzięki takiej organizacji gazeta może dać czytelnikowi najświeższe wiadomości, zaopatrzone nawet zdjęciami fotograficznymi.

Wiadomości, nadchodzące do redakcji do godziny 5-tej rano, możemy znaleźć w dzienniku już o 6-tej rano.

Dzisiejsze maszyny rotacyjne pozwalają nam ozdabiać pisma kolorowymi ilustracjami, nie mówiąc już o fotograficznych. Pod tym względem dziennikarstwo polskie nie pozostało w tyle, a nawet przewyższyło niemieckie.

Maszyna drukarska wyrzuca gazety rozcięte, złożone i policzone w paczkach po 50 sztuk, co bardzo upraszcza i przyspiesza ekspedycję. Radjo, które z jednej strony jest groźnym konkurentem dziennikarstwa, z drugiej oddaje mu nieocenione usługi, dzięki nieprawdopodobnie szybkiej wymianie ilustracji, które dopełniają i ozdabiają drukowane słowo.

T. kl. VII

Alkohol.

Płyn Bakcha, złociste wino i niemieckie piwo, zwane ciekłym chlebem dla swej wysokiej wartości kalorycznej i wszelka wódka, są truciznami. Wie o tem cały świat od czasów pradziadka Noego, który, zatruty toksycznymi własnościami wina, był niegdyś pośmiewiskiem syna własnego. Zatrzuwa się jednak świat cały systematycznie i z premedytacją, wymyślając wciąż nowe gatunki wódek, cocktailów i win. Czyni to może dlatego, że nie uświadamia sobie zgubnych skutków alkoholu, a może tylko daje folgę swej słabości i poświęca zdrowie organizmów jednostek i społeczeństw dla krótkiej iluzji szczęścia.

Szczęście, pojęte jako cel etyczny, jest dla przeciętnego człowieka złudą odległą i nieuchwytną. Jakżeż więc oprzeć się potędze butelki, która potrafi dać chwilę podniecenia, siły i rozkosznych marzeń? A jutro, mdłe „jutro” pijaka będzie dopiero potem, po radosnem „dziś”.

Takie nieliczenie się z następstwami czynów tkwi od prawieków w słowiańskim narodzie Polaków, to też nie dziwne, że kroniki nasze mówią nam o pijackich orgiach, odbywających się na dworach dawnej szlachty i w pałacach

magnatów. I dziś nie zbladły dawne tradycje... pijaństwa.

Leje się „alembik”, ludzie podnieceni alkoholem rzną się i strzeleją, lub wreszcie kończą życie pijackie na chorobę, zwaną delirium tremens. Stan taki w społeczeństwie, jest początkiem końca. W społeczeństwie zalkoholizowanym zamiera inicjatywa społeczna i czyn zbiorowy, gdyż ośrodki cheniowe w mózgach jego obywateli są zwyrodniałe dzięki działaniu narkotyzującemu alkoholu. Gdzie panuje ten tajemniczy płyn, wyrażany wzorem chemicznym C_2H_5OH , tam ginie poszanowanie prawa, rodzi się zbrodnia i ciemnota. Jakby na przekleństwo pijakom, grzechy ich nie kończą się ze śmiercią. Odbijają się one w następnych pokoleniach skarłatych, rachitycznych i skrofolicznych. Z drugiej strony, w kraju pijaków marnuje się wiele zboża na wyrób piwa, a kartofle, miast służyć ze pokarm biedakom, przetworzone, trują ich jako alkohol. Niektóre społeczeństwa zrozumiały już grozę alkoholizmu i, jak Stany Zjednoczone, wprowadziły pełną, lub częściową prohibicję. Jednak wydany przez władze zakaz sprzedaży alkoholu nie zawsze skutkuje.

Mimo milionów, łożonych na walkę z przemytnictwem alkoholu, mimo całego aparatu straży prohibicyjnej, w Stanach Zjednoczonych ludzie piją wciąż, piją cobądź, nawet denaturat i eter.

Jedyny ratunek tkwi w inicjatywie samego społeczeństwa. Gdy uświadomienie skutków alkoholizmu dotrze do wszystkich, najbardziej ciemnych warstw ludności, gdy wszyscy, i ci, którzy piją szampana, i ci, którzy upijają się „czystą”, pić przestaną, nie będą potrzebne zakazy sprzedaży alkoholu, bo sprzedawać go nie będzie komu. Nasze społeczeństwo zaczyna już rozumieć znaczenie akcji anty-alkoholowej. Organizuje się wystawy, obrazujące dobitnie w tablicach i wykresach wpływ alkoholu na sferę moralną, intelektualną i fizyczną człowieka. Kilkanaście lat istniejąca w Polsce organizacja pod nazwą „Związek Harcerstwa Polskiego”, rozwija żywą działalność na polu walki ze straszynym nałogiem pijaństwa, z widocznym skutkiem. Niech tylko poczynania jednostek i grup przerodzą się w wolę całego społeczeństwa, niech stworzą zdrowy ruch przeciw-alkoholowy, a wróg będzie pobity. Spieszmy się! Hannibal ante portas!

J. PODCZASKI kl. VIII.

Zapomnieć.

Jest w mowie ludzi ziemskich jedno wielkie słowo, Nazywa się „Zapomnieć” — o cieniu złowrogi!... Nie przybywasz, gdy trzeba gdzieś cierpieć na nowo, Przypełzasz, by przestonąć przeszłe szczęścia drogi.

Czem-eś jest, zapomnienie? — Nie jesteś czemś jednym,
Możesz być wielkiem szczęściem i wielką niedolą.
Zstępuj na tych, co w życiu swem trudnem i biednem
Bez przerwy ciężką walką z losem się mozolą!

Zasłaniaj im upadki, zwątpienia, rozpacze,
Niech im z przed oczu zniknie przeszłość postrzępiona,
Niech nikt, iż dawniej płakał, już teraz nie płacze,
Ale do nowej walki wyteży ramiona!

Lecz w swoich falach głuchych nie daj tonąć chwilom
Szczęścia, radości, wiosny, rozkoszy, upojen —
Niech ich wspomnienia życie człowieka umiła
Wstaną się podniętą nowych twórczych rojeń.

ST. SZYMAŃSKI. Kł. VIII.

Najmłodsze złudy.

Ogromną gromadą po świecie
biegniemy radośnie, biegniemy
przez wiosen biel, smutków jesienie.
Kłaniamy się zdala przestrzeniom
mgieł obcych, bezbarwnych i niemych
leżącym w sąsiednim powiecie.

Przez wielkie gościńce i szosy
upałem bielone i kurzem,
przez ścieżki, kwitnące kaliną,
przez pola rozległe i sine
biegniemy ku świtom i burzom,
w milczących ukrytym niebiosach.

Z małemi, śmiesznemi troskami
walczymy z rozśmianą rozpaczą,
świadomi swej siły i męstwa.
Biegniemy, za nami zwycięstwa
szlak górny, słoneczny nasz znaczą.
— Białemi biegniemy drogami...

Wsie w słońcu uśpione i w życie
i gwarne minęliśmy miasta;
już, zda się, przeszliśmy pół ziemi.
Wtem — kędyś stajemy zdumieni:
od stóp nam ścieżyna wyrasta
i w słońcu drogowskaz lśni: „Ż y c i e”.

J. PODCZASKI. Kł. VIII.

„Szlachetny czyn“.

(Nowela z ostatniej zawieruchy wojennej.)

Dokończenie.

Pewnego dnia, siedząc w jednym z pokojów swej rodziny, zamieszkałej w Londynie, przerzucał „Times’a“, zwracając tylko uwagę na wiadomości z frontu, lub dotyczące działalności flot. Nagle przestał przerzucać strony dziennika i zatrzymał wzrok na jednej z rubryk, której treść była następująca:

DZIAŁALNOŚĆ NIEMIECKICH ŁODZI PODWODNYCH.

Dn..... bieżącego miesiąca niemiecka łódź podwodna „V 201“, dowodzona przez kapitana Hansa v. Vomberg’a, zatopiła angielski transportowiec „Tryton“, wiozący do Anglii 4.000 ton ryżu.

Wiadomość ta podnieciła Mitchel’a. Ubrał się szybko, wyszedł, i zatrzymawszy przejeżdżającą taksówkę, rzucił krótko:

— Do admiralicji:

W kilkanaście minut był na miejscu. Zapłacił szoferowi, wszedł do budynku i kazał oficerowi dyżurnemu zameldować go u obecnego admirała.

Po chwili został wprowadzony do jego gabinetu.

Admirał, starszy człowiek o dobrotliwym spojrzeniu, cechującym marynarzy, zapytał:

— Pan jest John Mitchell, dowóca „Kent’a“, który tak dzielnie spisał się w bitwie falklandzkiej? Został pan, o ile wiem, przedstawiony do odznaczenia. Ale odbiegam od tematu, czego właściwie pan sobie życzy?

— Wasza Ekscelencjo, czy nie mógłbym prosić o przeznaczenie mnie do jednej z grup subchaserów*) — odpowiedział Mitchell. — Prośba moja jest dość dziwna, ma ona jednak wyłącznie osobiste podłoże i mam nadzieję, że Wasza Ekscelencja mi tego nie odmówi.

*) Submarie Chaser Group (grupa myśliwska łodzi podwodnych) miały one za zadanie zatapiać podwodne łodzie niemieckie.

— Nie rozumiem, dlaczego pan chce objąć stanowisko dużo niższe od obecnie zajmowanego — mówił admirał. — Zapewne ma pan do tego powody dostateczne. Nie chcę się o nie pytać. Jednak przychylię się do pana prośby, gdyż czytając raport o zachowaniu się pana w czasie bitwy falklandzkiej, nabrałem do pana zaufania.

Następnie admirał przejrzał, leżące na biurku, papiery i zaczął na jednym z nich coś pisać. Po chwili dziękującemu Mitchell'owi podał urzędowy rozkaz, mianujący go dowódcą jednej z grup subchaser'ów.

W pewien czas potem Mitchell znalazł się na stateczku, dowodząc również dwoma podobnymi i torpedowcami dodanymi do grupy dla eskorty.

Pewnej ciemnej nocy jego okręt „SC 125“ odłączył się od pozostałych i zablądził. Radjotelegrafista zdołał jednak szybko nawiązać łączność z resztą statków. Zawiadomił on je również o położeniu zbłąkanego statku, ażeby pozostałe okręty mogły go odszukać.

Okręt zatrzymano, ażeby ułatwić spotkanie, jednak w każdej chwili był gotowy do wyruszenia. Mitchell wyszedł na mostek. Była zimna, jesienna noc. Mroźny wiatr przejmował zimnem do szpiku kości. Jego ostre i silne powiewy pobudzały do ruchu olbrzymie fale, uwieńczone białymi grzywami. Ciemna i złowroga toń gotowa była, jak zwykle, do przyjęcia nowych ofiar, których nigdy nie była syta. Nawet księżyc widocznie przestraszył się grozy wzburzonego oceanu i zakrył swe jasne i wesołe oblicze ciemnymi jak sadze chmurami, bałwanującymi się po nieboskłonie, jak ich siostry fale po morzu. Groźne fale, jak-gdyby ciekawe zobaczyć bliżej śmiazków, którzy w takiej łupince odważyli się stawiać im czoło, nierzadko zaglądały nawet na mostek, liżąc chłodnymi strumieniami wszystkich i wszystko, co mogły tylko dosięgnąć. Ciemno było zupełnie. Nie widać było nawet wyciągniętej ręki. Światła na pokładzie nie paliły się jak zwykle podczas wojny, gdyż był to nieodzowny warunek do schwywania wroga.

Tym razem była to jednak tylko zwykła ostrożność i przyzwyczajenie.

Cały „SC 125“ był pogrążony w głębokiej ciemności i kołysany silnymi falami. Mitchell stał oparty o poręcz mostku kapitańskiego, drżąc z zimna i wilgoci, mimo ciepłego ubrania i gumowego płaszcza.

Nagle usłyszał przygłuszony wichurą, ale mimo to dość wyraźny, równomierny szmer, płynący z bliska. Po cichu zaalarmował załogę. Gdy była już gotowa do boju, otworzono reflektor.

Biały słup reflektora rozświetlił ciemności. W jego świetle zarysowała się nie dalej, jak o 100 metrów, łódź podwodna.

Mitchell zbladł, o ile może zblednąć twarz zsiniała z chłodu, gdy w świetle reflektora zobaczył białą farbą wyznaczone złowróźbne cyfry „V 201“. Lecz zdumienie jego powiększyło się jeszcze, gdyż wydało mu się, że na pokładzie łodzi widzi Vomberg'a. Zdumienie jednak nie odebrało mu przytomności umysłu. Rączkę telegrafu maszynowego przesunął natychmiast na „pełną“ i odtrąciwszy sternika sam pochwyił za koło sterowe.

Vomberg, gdyż on to był wrzeczywistości, zrozumiał, że łódź podwodna, która właśnie wypłynęła na powierzchnię w celu naładowania wyczerpanych akumulatorów, nie zdąży się dostatecznie zanurzyć. Wobec tego dał rozkaz wypuszczenia torpedy, a następnie próbowania ucieczki.

Rozkaz wykonano natychmiast. Wypuszczona torpeda trafiła w nieszczęśliwy statek, lecz na ucieczkę było już zapóźno, gdyż był on oddalony od łodzi o 20 metrów. „SC 125“ zwolnił trochę biegu. Jednak siła pędu tonącego statku wystarczyła na dość silne uderzenie okutym miedzią dziobem. Marynarze zaczęli wyskakiwać z tonącej łodzi i zanurzającego się statku.

Za innymi poszedł i Mitchell, lecz nie myślał on, o dostaniu się na jeden ze szczęśliwie zbliżających się angielskich statków.

Ujrzał niedaleko siebie twarz Vomberg'a, płynącego w stronę zbliżających się statków. Kilku szybkimi ruchami podpłynął do niego i już, chwyciwszy swój krótki marynarski mieczyk, miał rzucić się na wroga, gdy zobaczył, że ten zaczyna tonąć.

Przed oczyma Jach'a ukazała się nagle postać brata, który jakby chciał ratować sprawcę swej śmierci. Jednocześnie usłyszał jakby słowa modlitwy Pańskiej „... i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...“

Pod wpływem tych zjawisk zaszła w nim nagła i zupełna zmiana. Zaczął ratować tonącego wroga, za którego śmierć kilka minut temu oddałby jeszcze wszystko.

Począł płynąć w stronę zbliżających się statków, ciągnąc za sobą Niemca, który przychodził powoli do siebie.

Łodzie dopiero zaczęto spuszczać; oprócz tego było do nich bardzo daleko, a woda była lodowato zimna.

Zaczęli tonąć.

Walka z naturą była straszna i bezlitosna. Stawką było życie. Łodzie były daleko, 100 metrów, dla tonących, to za dużo. Woda coraz częściej zakrywała ich głowy. Łódź zbliżała się powoli. Mięśnie odmawiały im posłuszeństwa. Sekundy wydawały się im wiecznością. Wkońcu z łodzi dostrzeżono ich, lecz było zapóźno, zagłębili się pod wodą. Trzech marynarzy ofiarnie skoczyło w lodowato zimną wodę. Zaczęli nurkować. Początkowo napróżno, wreszcie wydobyli obydwóch. Marynarze angielscy położyli ich w łodzi.

Mitchell już nie żył.

Vomberg dogorywając, zaczął dłonią szukać ręki swego dawnego wroga. Wkońcu znalazł ją. Wtedy z jego ust padło krótkie, do westchnienia raczej podobne słowo:

Przebacz!

Potem ciało jego sprężyło się i opadło. Już nie żył.

W godzinę później odbyło się uroczyste spuszczenie do morza tych dwóch dawnych wrogów i trzech marynarzy, którzy umarli z wycieńczenia i zbyt długiego przebywania w lodowatej wodzie.

Owinięte flagami ciała z poprzywiązywaniem kulami armatnimi spuszczone do morza. Następnie rozległy się trzy strzały ku uczczeniu chowanych marynarzy, oraz tych, którzy nie uratowali się z „SC 125“ i „V 201“.

Wynik starcia przedstawiał się jak następuje: statek „SC 125“ i łódź podwodna „V 201“ przestały istnieć, a wraz z nimi około 50 marynarzy i oficerów tak angielskich jak i niemieckich.

Nigdy niesyte otchłanie morskie przyjęły nowe ofiary, na wieczny spoczynek.

B. OYRZANOWSKI. KL. VII.

„Wytrwaj...“

W pogodne, wiosenne dni siadywał na ławie przed domem i tęsknem okiem wybiegał pod chmury, gdzie gromadą lub w pojedynkę ciągnęło wszelkiego rodzaju ptactwo

To znowu w ciemne, jesienne wieczory, poprzez szum i zgiełk miasta wylawiał klangory spóźnionych z noclegiem zórawi, lub żałośnie gęganie gęsi. Pochmurne, ciemne niebo, smutek jesienny, ptactwo, opuszczające kraj, wszystko to składało się, iż marzenia, zagrzebane w tajnikach duszy, zamulone codziennymi troskami, znów wpływały i uderzały w struny tęsknoty, a żal, jej nieodłączny towarzyszący, przywoził przed oczy czasy lepsze, czasy beztroskich wędrówek po świecie. Tęsknił do tych szerokich przestrzeni stepu, tęsknił za głębią puszczy, uśmiechał się na wspomnienie czarownych i słonecznych dni. Żal mu było tego życia wędrowca, które przeszło, a nie miał nadziei, by wróciło.

Wiele dni i miesięcy minęło, gdy wrócił do kraju, pełen świeżych wrażeń i z zapasem sił do pracy. Obcując, podczas swych wędrówek, z naturą i Bogiem, nowych wiele prawd poznał, których ludzkość nie znała. Otworzył oczy ludzkości, dowieść, w jak ciasnym kręgu przestarzałych zapatrywań żyła, oto był cel jego pracy. Rwał się więc do czynu, przekonany, iż siłą uczucia, oraz głęboką wiarą w słuszność prawd wypowiedzianych porwie masę, pełne życia na nowe tory, obali stare, zapleśniałe, nie wspólnego z życiem nie mające pojęcia.

Jednak takie były marzenia, a rzeczywistość inaczej się przedstawiała. Niechęć, a niekiedy rozczarowanie do ogółu, który nie rozumiał, czy nie chciał rozumieć jego nowych haseł, powoli, ale stale studziły w nim zapał i z wyżyny szlachetnych marzeń spychały go w głębokie przepaście wątpliwości.

Walka jednego człowieka z milionami, człowieka, który niema nikogo, na kim mógłby się oprzeć, to za wiele na ograniczone siły ludzkie. Więc też zdarzało się, że i on sam zdawał się upadać w tej walce nierównej, a boleśń przynikała mu serce. Jad wątpliwości w jakikolwiek skutek jego pracy nadgryzał zdrową doniedawna duszę.

W takich chwilach zamykał się w mieszkaniu i dniami całami nie wychodził poza jego obręb, lub też porzucał miasto i znikał w pobliskim lesie. W nim dopiero powoli uspakajał się. Widok potężnych, tysiącletnich dębów, trwających mimo burz i wichrów, wlewał do jego serca strumień otuchy i nadziei.

Wtedy struny uczuć dźwięczały jak dawniej rzewną ale spokojną nutą. Z biegiem czasu jednak, gdy fala nienawiści ludzkiej potęgowała i coraz gwałtowniej go zalewała, nie pomagało nic owo wymykanie się w głąsę.

Ukojenie nie wracało. Rozkołysane boleścią serce coraz mniej wyrozumiałości, a coraz więcej pogardy znajdowało dla tego ludu nierozumnego. I wtedy to, mimo że ta ziemia matka wołała za nim tysięcznymi głosami pól i lasów, wyruszył na tułaczkę.

I znów, jak kiedyś, stał w słońcu, znów długą, białą wstęgą wił się przed nim gościniec. Minęło lato i nadchodziła bogata jesień, gdy zbliżył się do miejsca, skąd ostatni raz mógł spojrzeć na niwę ojczystą.

I wtedy to stało się coś, czego on wcale nie przewidywał; zapragnął pomodlić się w ojczystym kościele, a że miasto było niedaleko na prawo, a z masy jego wystrzelały dwie wieżycy kościoła, więc ruszył ochoczo.

Gdy stanął w kościele, słońce zachodziło i ostatnie czerwone śląc blaski, przenikało do wnętrza świątyni, oświecając posąg Chrystusa marmurowy z krzyżem na ramionach. Przykłęknął i zatonął w modlitwie. Gdy skończył, podniósł oczy i zdumiał się. Oto ten Jezus, którego przed chwilą widział chylącego się pod brzemieniem krzyża, szedł do niego, a wyciągnawszy skrwawione, żelazem przebite dłonie, ruchem tym dawał do zrozumienia, by wstał i szedł naprzeciw. Olśniony, powoli wstał i wpatrzony w bolesną a pełną słodyczy twarz Chrystusa, zbliżył się do Niego pełen trwogi, wreszcie runął na podłogę, i nie śmiał podnieść powiek, w poczuciu swej winy, skruszony. I oto Jezus, cicho, jak na skrzydłach powiewem niesiony stanął przy nim, a ująwszy w swe miękkie dłonie schyloną głowę olbrzyma, unióś ją nieco.

Po twarzy zmęczonej i twardej, zda się z kamienia ciosanej, płynęły łzy wyczerpania, łzy bezsiły. Więc Chrystus delikatnie, śnieżnym palcem usunął je z policzków, a dotknawszy nim także powiek, wzrok jego skierował na Siebie. I usłyszał głos Jezusa, cichy jak szmer strumyka.

„Wróć się i wytrwaj, bo, gdy się oddalicie, kto przy mnie zostanie?”

Wędrowiec głowę schylił, a gdy ją podniósł, jak dawniej, dźwigał Jezus krzyż. Więc podjął swój tłumoczek wędrowca, spojrzął na krew, która rubinowymi kroplami ściekała po twarzy Zbawiciela, skłonił się Utajonemu i wyszedł. W świetle gwiazd znów zaczęła się przed nim znajoma droga.

Przedziwna podróż.

Po długich rozmyślaniach, które nie przyniosły żadnego pożytku, Jędrus powiedział sobie: „dosyć”, zamknął starą, pożółkłą książkę i odłożył ją na bok. To chyba nie dla takich głów, jak moja napisane, myślał dla dodania sobie otuchy. Niech tam filozofowie nad tem rozmyślają. Zjadłszy obiad, udał się jednakowoż do stryja, bo mu ta sprawa z myśli nie chciała wyjść. Stryj, stary matematyk w szkole średniej, uprawiał w domu, jako dyletant, astronomję. Z czasem przeszło to u niego w nałóg i chciał, aby cały świat interesował się astronomją, a kiedy do niego przychodzili koledzy i krewni, wtedy wciągał ich w dyskusję i częstował przeróżnemi doświadczeniami z dziedziny astronomji. Nie mogąc się od dyskusyj w żaden sposób uwolnić, przestali przychodzić do niego, litując się, lub śmiejąc ze starego dziwaka. Wtedy zwrócił się do młodszej generacji, w której znalazł większy posłuch i zaciekawienie. Zbierał działwę wieczorem przy stole i prawil im o gwiazdach, planetach i kometach.

Na najbliższą niedzielę zapowiedział zebranie „Koła młodocianych miłośników astronomji”.

Chłopcy w sekrecie przed rodzicami i swymi kolegami wybierali się do starego, zdziwaczałego profesora. Gdy przybyli do jego domu, na stole stały już wszelkie przyrządy: a więc globusy, lampy, piłki i papier do wykresów. Praca polegała na tem, że chłopcy musieli pożyczone im książki przeczytać, zdać sprawę, a niezrozumiałe miejsca wspólnie przerabiano przy pomocy daświadczeń. Pierwszy wystąpił z zapytaniem Jędrus, bowiem czuł się u stryja, jak w domu. Przeczytał broszurkę o drogach świetlnych, promieniowaniu i odległości gwiazd od ziemi. Nie mógł jednak zrozumieć, dlaczego mieszkańcy bardzo odległych gwiazd widzą dopiero teraz (o ile mają kilometrowe teleskopy) wyjście Żydów z Egiptu, lub przypatrują się (darmo) olimpiadom.

Stryj już może poraz dziesiąty zaczął snuć wielce zagadkową opowieść o tem, że promienie docierają do naszego wzroku dopiero po pewnym czasie i że ten czas jest w stosunku wprost proporcjonalnym do odległości danej gwiazdy. Jędrus zrozumiał, pozostała jedynie możliwość, czy jest wogóle we wszechświecie gwiazda, z którejby dopiero teraz widziano Achilleasa, walczącego z Hektorem. Gdy jednak stryj powiedział, że wszystko jest możliwe, wtedy w główce Jędrusia zrobiło się zupełnie jasno.

Gdy poszedł do domu, miał już gotowy plan działania na najbliższy okres czasu. W ogólnych zarysach, przedstawiał

on się następująco: By przyjsć z pomocą historykom, należy udać się na jedną z najwięcej odległych gwiazd od ziemi, zbudować tam olbrzymi teleskop i, przez bezpośrednie odbieranie wrażeń z ziemi, napisać dokładną historję. Czemu mieszkancy Syrjusza (do tak pięknego przedsiwzięcia tylko Syrjusz mógł być użyty) mają wiedzieć o naszej ziemi więcej od nas? Czemu nie zaoszczędzić historykom sporów, umartwień różnych, a zwłaszcza szperania w pożółkłych papierach starych zbiorów archiwalnych. To przepiękny plan.

Jędrus był harcerzem i to prawdziwym harcerzem, co wiedział, jak wprowadzić w czyn maksymę: piękno z pożytecznem. Piękno — to pierwsza podróż międzyplanetarna, pożyteczne — to zdjęcie z historyków nawału pracy (zapomniał, że pozbawia ich chleba), zwłaszcza teraz, wobec przyspieszonego tempa wypadków historycznych.

Jędrus próbował wniknąć w szczegóły zamierzonego przedsiwzięcia, godnego nie maleńkich ramion chłopca, lecz silnych barków olbrzyma, lecz przemęczona główka opadła na poduszki i zasnął.

W wielkiej pracowni krząta się kilku mężczyzn. Ich ubiory odbijają od sukman i bluzek reszty, tak samo, jak ich twarze i postawa, zdolna tylko do wydawania rozkazów. Rzeczywiście byli to inżynierowie, reszta — to pomocnicy, częściowo robotnicy. Oparty o stół stał chłopiec, w którym łatwo poznamy Jędrusia, wszakże zmienił się. Włos uczesany nie jak dawniej, z miarką w rękę, chłopiec płonął jakimś ogniem wewnętrznym, a z ust naprzemian z rozkazami wychodziły narzekania. Pomimo pośpiechu pracowników, Jędrus był ciągle niezadowolony. Od 6-ciu tygodni wrzała praca pod kierunkiem najwybitniejszych inżynierów stolicy.

Trzy miesiące temu Jędrus za pośrednictwem wuja przedstawił profesorowi uniwersytetu warszawskiego swój plan dostania się na Syrjusza i na spisanie historii ziemi. Z początku wysmiewano „dziecinne mrzonki”, lecz gdy pewien potentat prasowy umieścił portret Jędrusia, oraz sam podkreślił możliwość tego przedsiwzięcia w kilku bardzo poczytnych dziennikach, profesor ustąpił pod naciskiem opinii publicznej i zdecydował się stanąć na czele wyprawy.

Prawie bez poprawek przyjęty plan Jędrusia, miał zostać urzeczywistniony. Verné pozostawił niezatarte ślady w umyśle Jędrusia, który teraz korzystał z dawnej lektury (Podróż na księżyc, Więzień na Marsie) i wziął wzór na wóz, który miał zawieźć Jędrusia wraz z całą ekspedycją na Syrjusza. Miętko wysłany pocisk w kształcie cygara, zrobiony

był z masy gutaperkowej; pokryty masą niepalną, miał na przodzie czub ołowiany, dla utrzymania kierunku i dla większej szybkości. Cztery okna z widokiem na wszystkie strony miały żelazne zasuwy dla bezpieczeństwa, a dwa wielkie akumulatory zasilaly światło i grzejniki elektryczne. Pocisk oprócz 4-ech osób mieścił w sobie zapasy żywności i wszelkie przyrządy, jakie mogłyby się ekspedycji przydać. Po pierwszej udanej podróży coraz nowe ekspedycje miały zasilac kolonję ludzką na Syrjusz.

Wreszcie praca dobiegała końca. Przed szklaną szopą stały codziennie tłumy ludzi, którzy oglądali pocisk, łozę śmierci według mniemania jednych, sławę nieśmiertelną według drugich. Szczególną sensacją był młodociany kierownik szalonej wyprawy. Na jego widok wznoszono wiwaty, a on sam co pewien czas zmieniał ubranie dla uniknięcia napaści fotografów i dziennikarzy.

W dzień odjazdu Jędrus poszedł do szkoły i do wszystkich znajomych, aby się z nimi pożegnać. Według obliczeń astronomów powinno się wypuścić pocisk z olbrzymiej armaty, ustawionej na lotnisku w Mokotowie, o godz. 14, min. 6. Jednak już od rana plac zalegały dziesiątki tysięcy ludzi, a między nimi można było widziec przedstawicieli wszystkich narodów świata.

Jędrus nie mógł się uwolnić od uścisków matki, jednak znalazł się wkońcu na drabince, opartej o armatę. Stanąwszy na ostatnim szczeblu, odwrócił się do zebranych, i zdjawszy czapkę, machnął nią kilka razy. W odpowiedzi frunęło 50.000 czepek w górę, a głośnie „hurra!” było slychać daleko w okolicy.

Wreszcie zamknięto pocisk. W okienku stał Jędrus. Szukał czegoś wzrokiem, który wreszcie spoczął na postaci kobiecej, bladej i zapłakanej. Na widok płaczącej matki łyzy stanęły mu w oczach, w tej jednak chwili zasunięto zasuwe. Chwila tęsknego oczekiwania... Wtem straszny huk rozdarł powietrze i w tej chwili Jędrus odbił się o sprężyny przeciwległej ściany. Po chwili stracił przytomność.

Gdy otworzył oczy, stała nad nim matka, która przy pomocy ojca podnosiła go z podłogi i starała się, napoły jeszcze śpiącego, ułożyć na łozku.

— Cóżes tak niespokojnie spał, Jędrusiu? — spytała go matka.

Ach, więc to był tylko piękny sen, pomyślał Jędrus.

a głośno powiedział: — A ja myślałem, mamusiu, że cię już nigdy, nigdy nie zobaczę.

— Dlaczego synu? — rzuciła niespokojne pytanie matka. Lecz Jędrus uśmiecha się zagadkowo i nic nie odpowiada.

H. BENDER. Kł. VII.

Polowanie na wilki.

Zima była dosyć mroźna, ale bezśnieżna, dopiero w końcu stycznia upadł niewielki śnieg i otulił ziemię białym całunem, wypełnił wszystkie nierówności gruntu, rowy zrównał z polami i drogami, a drzewa i krzewy obsypał białym puchem. W leśniczówce, chociaż dopiero świta, widać już światło w oknach i ruch na podwórku, gdzie zaspany chłopak zakłada konie do sanek, które za chwilę nadleśny pojedzie do właściciela majątku, aby mu donieść, że gajowy wykrył na świeżym śniegu, który spadł wieczorem, ślady wilków. Wilków tych było kilkanaście i robiły one wielkie szkody w zwierzostanie, a bez śniegu trudno było bardzo je osaczyć, gdyż lasy ciągnęły się na znacznej przestrzeni. Właściciel polecił nadleśnemu, żeby mu dał znać natychmiast po odnalezieniu przez któregoś z leśników śladów wilczych, to też, kiedy na świeżej ponowie gajowy odkrył ich ślady i zameldował o tem nadleśnemu, ten natychmiast udał się do właściciela, aby go osobiście o tej wesołej nowinie uwiadomić. W godzinę po przybyciu nadleśnego wyruszyły do lasu sanki, w których oprócz właściciela jechał jego kuzyn, zapalony myśliwy. Przez całą drogę rozmawiali o polowaniu, przewidując jego wyniki i niepokojąc się, czy zaproszeni telefonicznie myśliwi z sąsiedztwa zdążą na czas przyjechać. W leśniczówce oczekiwała naganka, składająca się z mężczyz i wyrostków, z których każdy posiadał gruby kij na wypadek, gdyby był napastowany przez ranionego wilka, i kilku gajowych, którzy ją mieli prowadzić. W kilka chwil po przyjeździe właściciela, przybyli niecierpliwie oczekiwani myśliwi i natychmiast wyruszone w drogę. Droga prowadziła z początku przez stary las, bardzo mało podszyty krzewami, przeważnie leszczyną i czeremchą. Drzewa były przeważnie liściaste; i brdzo stare, buki, graby i wiekowe dęby stały grupkami lub pojedynczo z nagimi gałęziami, których nie poruszał nawet najmniejszy wiaterek. Wyglądały poważnie, groźnie prawie w tym spokoju i ciszy, i jakby dumne z swych lat i potęgi, spoglądały zgóry na tych ludzi - intruzów, którzy śmieli zamącić cichy spokój ich wielkiego życia.

Myśliwi, podnieceni polowaniem, oczuli jednak tę niemą, groźną potęgę i zaprzestali swej ożywionej dyskusji. Minąwszy jeszcze młody las świerkowy, którego drzewa były po-

kryte grubą warstwą śniegu, co spowodowało pochylenie się gałęzi ku ziemi, wjechali myśliwi na niewielką polankę, skąd piechotą udali się na stanowiska, wyznaczone przez nadleśnego. Las, z którego miano pędzić wilki, był przeważnie sosnowy, chociaż były tam też i drzewa liściaste. Podszycie było dość rzadkie, stanowiły je karłowate krzaczki tak, że myśliwi ze stanowisk mogli widzieć na kilkadziesiąt kroków w głąb. Gdy już wszyscy byli na swoich miejscach doleciał do uszu myśliwych przytłumiony odległością sygnał prowadzącego nagankę. Naganka ruszyła. Oczy myśliwych zaczęły się z uwagą wpatrywać w las, a uszy wsłuchiwać w ciszę, by jaknajwcześniej usłyszeć kroki zwierząt. Las zdawał się być zupełnie pusty, gdyż myśliwi za swemi płótkami z chróstu stali bez ruchu, a naganka była jeszcze daleko.

Czasem któryś z myśliwych, usłyszawszy podejrzany szmer, wpatrywał się pilniej w las i podnosił sztucer, jak gdyby się przygotowywał do strzału, ale po chwili, ujrawszy zająca lub dziką opuszczał go z powrotem. Nagle do uszu myśliwych doleciał cichy głos trąbki, który donosił, że naganka trafiła na ślady leśnych rozbójników. W kilka chwil potem wypadło z lasu kilka saren z jeleniem na czele. Całe stadko przemknęło w szalonym pędzie, jak gdyby przestraszone. Myśliwi, pomiędzy którymi przebiegało, ucieszyli się bardzo, gdyż odrazu domyślili się, że wilki pójda po tropie. Jakoż nie upłynęło dużo czasu, gdy w krzakach coś zamajaczyło i na tropie sarnim ukazały się cztery wilki. Szły one ciężkim galopem z uszami sztywno sterzącymi do góry z zielonkawo - fosforycznymi oczami, spuszczone na ślad. Myśliwym żywo zabiły serca. Wilki zbliżyły się na strzał. Idący przodem, spostrzegłszy myśliwego uskokzył w bok i zniknął w krzakach, trzy pozostałe rozdzieliły się, ale szły dalej. Musiały być widocznie bardzo głodne. Równocześnie zagrzmiały dwa strzały. Jeden wilk, dobrze trafiony, zwałił się ciężko na ziemię; drugi, któremu kula przestrzeliła przednie nogi i zadrasnęła skórę, pomimo rany, rzucił się wprost na myśliwego, który z najzimniejszą krwią przypuściwszy go na pięćdziesiąt kroków, ślicznym strzałem w komorę położył na miejscu. Trzeci wilk zdołał przebiec linję, gdyż kule, które mi go przywitano, a raczej pożegnano, ominęły swój cel i zaryły się w śnieg. Czwarty, który chciał się wymknąć bokiem, został zabit przez nadleśnego. Gdy naganka wyszła na linję, leśnik, który ją prowadził, zameldował nadleśnemu, że reszta wilków w liczbie ośmiu, sądząc ze śladu, wyszła bokiem za stadem saren, które, rozbite na dwie części, poszło dwoma drogami. W następnych miotach upolowano jeszcze pięć wilków, a ponieważ kilka pozostałych nie można było zabić, gdyż uciekły już były dość daleko, a do wieczora zostawała godzina czasu, postanowiono zapolować na dziki, których widziano dużo podczas polowania. Myśliwi, posiliwi-

szy się na prędee, gdyż była już godzina trzecia, udali się do młodego zagajnika świerkowego, do którego człowiek nie mógł wejść inaczej, jak na czworakach, a w którym dziki bardzo lubiały przebywać. Dziki są bardzo czujne i ruszają wczesnie, kiedy naganka jest jeszcze daleko. Linja myśliwych zamarta w bezruchu, usłyszawszy hejnał. Ciska nie trwała długo. Przed jednym z myśliwych na polance, zrobionej umyślnie przed stanowiskiem, stanął stary dzik. Był olbrzymiego wzrostu, jego kły sterczały groźnie, czarna szczecina na bokach i grzbiecie pokryte były śniegiem, strąconym podczas ucieczki z niższych gałęzi świerków. Myśliwy zrozumiał, że jest to stary odyniec, chodzący w pojedynkę i że jego życie zależy od strzału, gdyż takie stare samotniki, zranione, często rzucają się na myśliwych. Nie miał dużo czasu do namysłu i celowania, ponieważ dzik, przystanąwszy na chwilę, zdziwiony widokiem człowieka sadził ogromnymi susami przez polanę. Muszka sztucera spoczywała ciągle w okolicy prawej łopatki, gdyż dzik wymijał myśliwego z prawej strony.

Dzik, dobiegłszy już prawie do linii, odkrywał coraz bardziej swój bok. Jeszcze czterdzieści kroków dzieliło go pewnie od niej, gdy huknął strzał... Odyniec podniósł łeb i pędził dalej. W kilka sekund drugi strzał przerwał ciszę. Dzik, trafiony i oszalały z bólu, pędził wprost na myśliwego, który nie miał już czasu do ponowego nabicia broni, na szczęście posiadał długi myśliwski nóż za pasem. Chwila, i dzik dopadłszy, ostatnim wysiłkiem starał się obalić człowieka, który uskoczywszy w bok, wbił kordelas po rękojęść w szyję dzika.

Zwierz runął więc na ziemię. Szczęśliwie się zakończył bój człowieka z dziką bestją, leżącą u jego stóp. Obydwa strzały trafiły: jeden w sam środek komory, drugi, wymierzony mniej pewną ręką i w pośpiechu, zadrasnął dość głęboko grzbiec. Dziki, szczególnie stare pojedynki, są bardzo wytrzymałe i pomimo bardzo ciężkich ran, mają jeszcze tyle siły by umknąć, lub rzucić się na człowieka. Nieraz dzik śmiertelnie zraniony ucieka kilka kilometrów i dopiero wtedy pada. Innym myśliwym powiodło się też niezle, gdyż oprócz starego odynca padły jeszcze cztery znacznie od niego mniejsze i dwa lisy. Myśliwi zeszli się po skończonym polowaniu przy starym pojedynku i wieszowali strażów i odwagi koledze, gdyż nadleśny oświadczył, że był to starzec dziczego rodu, który wielokrotnie uniknął śmierci na polowaniach dzięki swej wytrzymałości. Następnie udali się przed leśniczówkę, gdzie po za wiankiem zabitych zwierząt stanęli myśliwi: Nadleśny ogłosił królem polowania jednego z myśliwych, który posiadał na rozkładzie trzy wilki, dwa warchlaki i lisa! Gajowi zagrali pobudkę na cześć króla i zakończenia polowania, która na falach czystego, wieczornego powietrza, przy purpurowo-fioletowej zorzy popłynęła w dal.

P. Z. N. Kl. VI.

KRONIKA.

KÓŁKO LITERACKIE. Dnia 27 października r. b. szk. odbyło się 3-cie zebranie kółka literackiego, na którym kol. Podczaski wygłosił referat n. t.: „Żywe idee Słowackiego”, a kol. St. Szymański zdał sprawozdanie z bieżącego ruchu literackiego. W dyskusji nad sprawozdaniem zabierali głos kol.: Sokopp i Walicki oraz p. prof. Anders. Referat wywołał uwagi kol.: Walickiego i Sokoppa oraz p. prof. Andersa. Na zebraniu było obecnych 50-ciu członków. Przewodniczył kol. Dąbrowski.

Dnia 17 listopada b. r. szk. odbyło się 4-te zebranie kółka lit., na którym kol. Berezowski odczytał referat n. t.: „Giaur na tle życia i twórczości Byrona”, a kol. Szalecki złożył sprawozdanie z bieżącego ruchu lit. W dyskusji nad nad sprawozdaniem zabierali głos kol.: Oyrzanowski i Majchrzak. Referat wywołał uwagi kol. Adamiaka, pana dyrektora Kozłowskiego, który był obecny na zebraniu, oraz p. prof. Andersa. Obecnych było na zebraniu 49 czł. Przewodniczył kol. Pszeny.

Dnia 8 grudnia b. r. szk. odbyło się 5-te zebranie kółka literackiego, na którym kol. Walicki wygłosił referat n. t.: „Mickiewicz w Rosji (1824—1829)”, a kol. Majchrzak zdał sprawę z bieżącego ruchu literackiego. W dyskusji nad sprawozdaniem zabrał głos kol. Walicki oraz p. prof. Anders. Referat wywołał uwagi kol.: Adamiaka, Orzanowskiego, Bretsznajdra oraz p. prof. Andersa. Obecnych na zebraniu było 47 czł. Przewodniczył kol. Oyrzanowski.

Dnia 12 stycznia odbyło się 6-te zebranie kółka literackiego, na którym kol. Bender odczytał referat n. t.: „Zamek kaniowski”. W dyskusji nad referatem zabierali głos kol.: St. Szymański, Walicki oraz p. prof. Anders. Obecnych na zebraniu było 40 czł. Przewodniczył kol. Wiesław Bretsznajder.

KÓŁKO HISTORYCZNE. Dnia 11 listopada b. r. szk. odbyło się trzecie z kolei zebranie kółka historycznego, na którym kol. Guzek zdał sprawozdanie z ostatnich wypadków historycznych, a kol. Majchrzak wygłosił referat n. t.: „Joachim Lelewel”. W dyskusji nad sprawozdaniem zabierał głos kol. Gatz, natomiast dyskusji nad referatem nie było, bowiem ks. prof. Wolanin zaproponował zebrany, by nad referatem nie dyskutować, lecz przez powstanie uczcić imię wielkiego patrioty. Następnie ks. prof. Wolanin podał wniosek, by Joachima Lelewela przyjęć jako patrona kółka historycznego. Wniosek został przyjęty z entuzjazmem. Na tem zebranie zakończono. Przewodniczył kol. Orzechowski.

Dnia 24/XI-29 r. odbyło się czwarte zebranie kółka historycznego. Po odczytaniu sprawozdania z ostatnich wypadków historycznych przystąpiono do referatu na n. t.: „Rozwój reformacji w Niemczech”. W dyskusji nad referatem zabierał głos kol. Guzek, podnosząc w krótkich słowach wartość referatu. Następnie zabierał głos kol. Gatz, który dodał, że Luter oprócz cech ujemnych, miał również cechy dodatnie, co można stwierdzić na podstawie jego działalności. Na tem zebranie zakończono. Przewodniczył kol. Śledź.

Dnia 15 grudnia 1929 r. odbyło się piąte zebranie kółka historycznego, na którym kol. Guzek zdał sprawozdanie z ostatnich wypadków historycznych, a kol. Orzechowski wygłosił referat n. t.: „Powstanie listopadowe”. Pracę prelegenta koreferował kol. Bretsznajder Wiesław (kl. V). W dyskusji nad sprawozdaniem zabierał głos kol. Walicki, mówiąc, że w sprawozdaniu należałoby wspomnieć o zbrojeniach Francji. Z kolei przystąpiono do dyskusji nad referatem, w której zabierał głos kol. Guzek i ks. prof. Wolanin, mówiąc, że referat dzięki walorom stylistycznym zasługuje na pochwałę. Na tem zebranie zakończono. Przewodniczył kol. Walicki.

BRATNIA POMOC Dnia 29/X-1929 r. odbyło się I zebranie nowo-
wybranego na rok 1929-30 Zarządu Br. Pomocy. Na zebraniu był obecny p.
prof. kurator Urban Poszczególne funkcje zostały rozdzielone w następu-
jący sposób: kol. Sokopp — prezes, kol. Kunczewicz L. — I wiceprezes, kol.
Górkiewicz F. — II wiceprezes, kol. Kozłowski F — skarbnik, kol. Narbutt
P. — sekretarz. Pisemkiem ma się zająć kol. Kunczewicz jako należący do
komitetu redakcyjnego, kol Górkiewicz zaś księgowością w sklepiku. Po-
stanowiono następnie, aby sprawą aparatu kinowego zajmował się nadal
kol. Aktaboski St.

Dnia 2/XI 1929 odbyło się drugie zebranie Zarządu w sprawie rozpa-
trzenia podań, jakie wpłynęły na ręce kol. Prezesa. Na zebraniu był obecny
p. prof. kurator Urban i cały Zarząd. Po rozpatrzeniu, użyczono wszystkim
7-miu pelentom pożyczek w łącznej sumie 303 zł.

Dnia 20/XII-1929 odbyło się trzecie zebranie Zarządu Br. Pomocy. Na
zebraniu byli obecni p. dyr. J. Kozłowski, p. prof. kur. Urban, oraz wszyscy
członkowie Zarządu. Na ręce kol. prezesa wpłynęło kilka podań w sprawie
pożyczek, które jednak nie zostały uwzględnione z powodu nieregularnego
wpłacania składek członkowskich przez klasy wyższe. Postanowiono zwrócić
się listownie do tych wszystkich, którzy kilka lat temu zaciągnęli pożyczki,
a chociaż dziś są już na stanowiskach, nie śpieszą z ich uregulowaniem.
Postanowiono wyasygnować 1000 złp. na aparat kinowy. Gimnazjum organi-
zuje w tym roku szkolnym dwie uroczystości: Jedną ku czci Juliusza Sło-
wackiego, drugą ku czci Jana III Sobieskiego. Zorganizowaniem, jak również
sprawą finansową, ma się zająć Zarząd Br. Pomocy.

Dnia 19/XII-1929 r. o godz. 12.10 odbyło drugie nadzwyczajne walne
zebranie członków Br. Pomocy z następującym porządkiem dziennym.

- 1) Zagajenie i wybór przewodniczącego
- 2) Odczytanie protokołu z poprzedniego zebrania
- 3) Plan działalności na rok szkolny 1929-30
- 4) Uchwalenie budżetu
- 5) Wolne wnioski.

Na zebraniu byli obecni p. dyr. J. Kozłowski, ks. prof. Wolanin, p.
prof. Anders, wszyscy kkol. z klas wyższych, oraz delegacje z klas niższych.
Ze względu na tymczasowy brak sali gimnastycznej, zebranie odbyło się
w klasie IV. Przewodniczył kol. Bretsznajder Wł. kl. VIII. W dyskusji nad od-
czytanym protokołem wywiązała się krótka dyskusja nad prowadzeniem
ksiąg w sklepiku szkolnym i zbadaniem tychże przez Komisję Rewizyjną.
Przechodząc do 3 punktu porządku dziennego, kol. Prezes oznajmił, że o-
prócz pracy w kółkach samokształceniowych, które dobrze prosperują, obo-
wiązkiem członków jest także współpraca w wydawaniu *Przebojem*. Opiesza-
łości członków należy przypisać, że wyszedł dopiero jeden numer pisma,
noszącego nazwę miesięcznika.

Drugą ważną bardzo sprawą jest regularność wpłacania składek, któ-
re stanowią przecież podstawę budżetu. Przez regularne wpłacanie składek
ułatwia się pracę Zarządowi i nie doprowadza do konieczności nieuwzględ-
niania podań o pożyczki z powodu braku gotówki. Następnie kol. Prezes
zaproponował utworzenie Koła Sportowego, ponieważ sport jest w naszym
gimnazjum niezłe rozwinięty; chodzi tylko o nadanie mu pewnej organizacji
utworzenie odpowiednich sekcji, narazie: szermierczej, ping-pongowej i spor-
tów zimowych. Jest projekt zorganizowania dwu uroczystości: jednej ku czci
Słowackiego, drugiej króla Jana III Sobieskiego. Projektuje się również urzą-
dzenie dwóch zabaw: dla kkol. starszych i młodocianych. Świetlica ma być
czynna raz na tydzień, a jeżeli okaże się duża frekwencja, to i częściej,
w miarę możliwości będzie można przytem słuchać audycji radiowych.

W trzecim punkcie porządku dziennego przystąpiono do uchwalenia
budżetu, który zatwierdzono w następującej formie:

D O C H Ó D:	
Składki członków rzeczzyw.	1.760 zł.
" " " " wspier.	150 "
Rozsprzedaż Przebojem	150 "
Ofiary	200 "
Zabawy i imprezy	802.44 "
Dochody nadzwyczajne	100 zł.
Zwrot pożyczek	900 "
Dochód ze sklepiku	180 "
Pozostałości	757.56 "
	757.56
R a z e m:	5.000 zł.

R O Z C H Ó D:	
Druk Przebojem	780 zł.
Pożyczki długoterminowe	400 "
" " " " krótkoterminowe	760 "
Sekretarjat	137 "
Świetlica i biblioteka	650 "
Zapomogi dla kolek	320 "
Nagrody i premje	150 "
Nadzwyczajne	513 "
Aparat kinowy	1.000 "
Kolonje letnie	300 "
	5.000
R a z e m	5.000 zł.

W dyskusji nad budżetem zabierali głos kkol: Oyrzanowski, zaytując, czy suma 200 zł, przewidziana w dochodach z ofiar, jest realną; kol. Prezes oznajmił, że z wyjątkiem roku zeszłego zwykle jeszcze ją przewyższała. Dalej kol. Walicki, który uważał, że suma, przeznaczona na drukowanie Przebojem, jest zaduża, oraz koledzy: Gruchalski, Guzek, Piaskowski. Kol. Majchrzak zaproponowali, aby Br. Pomoc nabywała książki, potrzebne do referatów, wygłaszanych na kółkach. Na ten temat rowineła się bardzo ożywiona dyskusja, w której brał udział kol. St. Szymański i kol. Gruchalski. Następnie ks. prof. Wolanin oznajmił, że prezesi poszczególnych kolek powinni sami dbać o to, aby Bratniak wspierał wydatniej te organizacje. Zarząd zaś Bratniaka powinien sam poczuwać się do tego obowiązku. Co do książkiek zaś, to wartościowsze i potrzebne powinny być kupowane. Świetlica, mimo małego zainteresowania, powinna być czynna, a Zarząd różnemi imprezami powinien przyciągać jak największą ilość uczniów. Również uczniowie powinni dobre podręczniki, które są już im niepotrzebne ofiarowywać bibliotece Bratniaka, co stanowiłoby wielką pomoc koleżeńską. P. prof. Anders zaznaczył, że Bratniak powinien nabywać tylko takie książki, których wartość jest rzeczywiście nieprzemijająca. Co do sumy, przeznaczonej na nagrody, kol. Guzek uważa, że jest ona za duża. Kol. Prezes oznajmił, że mogą być jakieś nieprzewidziane nagrody, wobec czego pozycja ta pozostała bez zmiany. Kol. Gruchalski proponuje urządzić konkurs na łamach Przebojem. P. prof. Anders uznał ten wniosek za dobry i że nagrody mogą być udzielane zarówno w formie książki, jak i pieniężnej. Kol. Gruszczynski uważa udzielanie nagród pieniężnych za handlowanie sztuką, na co replikuje kol. Podczaski, przypominając nagrody literackie. W dyskusji nad dochodami i wydatkami nadzwyczajnemi zabrał głos ks. prof. Wolanin, oświadczając, że w tym roku w związku z obchodem dziesięciolecia gimnazjum będą większe wydatki nieprzewidziane. Kol. Podczaski zaproponował, aby obciąć część funduszu dyspozycyjnego na rzecz kupna aparatu kinowego. Kol. Gruchalski zaproponował, aby sumy, pozostałe z funduszu, przełać na rzecz kolonij letnich. Suma przeznaczona na druk Przebojem pozwoli na wydanie kilku jeszcze numerów pisemka. Ostatecznie suma 300 zł. została przeznaczona na kolonje letnie. Budżet został w tej formie zatwierdzony.

P. prof. kurator Urban ogłosił, że komedia, która miała być odegrana przez zespół uczniowski w marcu b. r., nie przyjdzie do skutku, a to z tego powodu, że ci uczniowie, którzy chcieliby grać, są przeważnie w ósmej klasie i mają zawiele roboty. Następnie p. prof. kurator mówił jeszcze o nieregularnem wpłacaniu składek przez klasy wyższe; niektóre z nich wcale jeszcze nie zapłaciły; świadczy to o nich nader ujemnie. W wolnych wnioskach zabierał głos kol. Podczaski mówiąc, że wszyscy koledzy powinni dbać o Przebojem i dawać do niego artykuły, gdyż pisemko świadczy o poziomie intelektualnym i dążeniach uczniów. Sprawą wyznaczenia konkursu do najbliższego numeru Przebojem ma się zająć Zarząd. Na tem zebranie zakończono.

Dn. 8/1-1930 odbyło się czwarte zebranie Zarządu. Na zebraniu byli obecni p. dyr. Kozłowski, p. prof. Kurator Urban i cały Zarząd z wyjątkiem

kol. Górkiewicza. Na wstępie rozpatrzono jedno podanie, jakie wpłynęło na ręce kol. Prezesa, a następnie przystąpiono do sprawy kino-aparatu. Odpowiednia korespondencja w sprawie nabycia aparatu ma być jak najszybciej przeprowadzona z firmą Jarosz w Warszawie. Postanowiono, że dorocznym zwyczajem, za pozwoleniem Rady Pedagogicznej odbędą się dwie zabawy: dla kolegów z klas starszych i młodszych. Zabawy mają być bezpośrednio jedna po drugiej; ostateczny termin nie został jeszcze ustalony w związku z tem, że w terminie proponowanym przez kol. Prezesa ma się odbyć przypuszczalnie uroczystość ku czci J. Słowackiego. Następnie p. Dyr. udzielił kilka cennych wskazówek co do samej organizacji zabawy. W sprawie ogłoszenia konkursu ustalono, że będzie on miał charakter ogólny. Wszystkie artykuły będą w rękopisie ocenione, a następnie kolejno drukowane w Przebojem. Nagroda wynosić będzie 15 zł., którą zwycięzca konkursowy otrzyma w formie książki. Co do świetlicy, o której otwarcie prosili młodszy koledzy, ma się ona odbywać od godz. 7-mej wieczorem i ma być połączona z audycjami radjowymi. P. Dyrektor zaznaczył, że należałoby do sklepiku sprowadzić albumiki po-złówek z zabytkami historycznymi, zawierającymi po 10 sztuk każdy i starać się ich jak najwięcej rozsprzedać. Na tem zebranie zakończono.

KÓŁKO KRAJOZNAWCZE. Dnia 19 października r. b. szk. odbyło się zebranie członków kółka. Jednym z punktów porządku był obiór Komisji Rewizyjnej, do którego też przystąpiono. W skład Komisji Rew. weszli kol.: Taczanowski, Szalecki i Pszenny. Następnie uchwalono, iż składkę członkowską należy wpłacać jednorazowo w sumie 2 zł. W dalszym toku zebrania przystąpiono do obioru nowego prezesa, gdyż kol. Górkiewicz zrzekł się tej funkcji z przyczyn czysto osobistych. Prezesem Kółka został kol. Cydzik z kl. VIII. W wolnych wnioskach zgłosił się z referatem na przyszłe zebranie kol. Orzechowski, a kol. Taczanowski ze sprawozdaniem z „Orlego Lotu”. Na zebraniu obecny był ks. prof. Wolanin. Przewodniczył kol. Szalecki.

Dnia 25 października r. b. szk. odbyło się walne zebranie członków kółka. Kol. Taczanowski odczytał sprawozdanie z „Orlego Lotu”. W dyskusji nad sprawozdaniem zabrał głos kol. Cydzik i zaznaczył, iż sprawozdanie powinno być pisane atramentem, a nie ołówkiem. Uwagę swą motywował tem, iż sprawozdanie ma być złożone w archiwum Kółka. W dyskusji nad odczytaniem sprawozdaniem Komisji Rewizyjnej zabrał głos kol. Gruchalski i zaznaczył, że w sprawozdaniu powinna być podana jego kolejność. Przewodniczył kol. Pszenny.

KÓŁKA RELIGIJNE. Na terenie gimnazjum istnieją dwa kółka religijne: Sodalicja Marjańska i Słowarzyszenie Dziecięctwa Jezus.

1) Sodalicja Marjańska została zorganizowana w 1928 roku. Celem jej jest wyrobienie wzorowych młodzieńców, którzyby spełniali jak najlepiej i jak najsumiennie obowiązki ucznia, kolegi, członka rodziny oraz obowiązki religijne względem Boga i Kościoła i obowiązki obywatelskie względem Ojczyzny. Jako środki do tego służą: referaty i pogadanki na zebraniach oraz nieliczne praktyki religijne. Zebrania odbywają się mniej więcej co dwa miesiące, na których omawiane są sprawy organizacyjne oraz wygłaszane referaty. Między innymi opracowane były dotąd referaty: 1) cel i zadanie Sodalicji Marjańskiej w Polsce, 2) cześć Marji w Polsce. 3) Św. Stanisław Kostka, 4) potrzeba silnego charakteru, 5) obowiązki sodalisa w szkole i w rodzinie i t. p. Sodalisci prenumerują miesięcznik: „Pod znakiem Marji” i „Sodalis Marjanus”.

W roku bieżącym grono sodalisów powiększyli nowi kandydaci przezważnie z klasy IV.

Moderatorem jest ks. prof. Targoński, prezesem kol. Z. Narbutt; sekretarzem kol. Berezowski Kaz.; skarbnikiem kol. Taczanowski Fr.

Przedmiotem pracy sodalicji w r. b. będzie poznanie i pogłębienie pięknej liturgji w Kościele Katolickim.

2) Stowarzyszenie Dzieciectwa Jezus. Celem tego stowarzyszenia jest ratowanie dzieci pogańskich, wykupywanie ich z niewoli i staranie się o ich wychowanie chrześcijańskie. Dewizą — „Dzieci chrześcijańskie niech ratują dzieci pogańskie”. Stowarzyszenie to ma jeszcze i znaczenie wychowawcze, albowiem przypomina i przyzwyczajają młodzież do systematycznego wypełniania uczynków miłosierdzia chrześcijańskiego względem bliźnich w postaci drobnej ofiary pieniężnej i krótkiej modlitwy. Stowarzyszenie dzieli się na serje, każda serja zawiera 12-u członków. Obowiązki są bardzo niewielkie: 1-o Odmówienie codziennie „Zdrowaś Marja” z wezwaniem „Najświętsza Marjo Panno módl się za nami i za biednymi dziećmi pogańskimi”, 2-o ofiarować miesięcznie przynajmniej 5 groszy, 3-o zbieranie znaczków pocztowych. Członkowie otrzymują czasopismo p. t. Roczniki Dzieła, wychodzące co dwa miesiące, dające możność zaznajomienia się z krajami misyjnymi, z ich położeniem, zwyczajami, przyrodą i t. p.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

METAMORFOZA.

Rozwiązać następującą metamorfozę.

N	A	R	T	A
M	A	R	T	A
M	A	R	T	A
M	A	R	K	S
—	—	—	—	—
—	—	—	—	—

O b j a ś n i e n i e. Metamorfoza polega na zmianie wszystkich liter danego słowa tak, aby przy każdej zmianie tworzyło się nowe słowo.

ZADANIE KONIKOWE.

R	E	B	P	A	C
Y	R	Y	I	W	O
W	O	I	R	J	J
E	K	A	O	P	E

Obejść powyższy prostokąt ruchem skoczka (konika), stojąc na każdym polu tylko jeden raz tak, aby utworzyła się treść, która stanowi bardzo ważną dewizę, prowadzącą do dobrobytu i do potęgi finansowej państw.

Termin rozwiązań do 15 marca r. b.

L. UBYSZ. kl. VI.



Wydawca: Zarząd Bratniej Pomocy w osobie prof. URBANA.

Kierownik literacki: prof. ANDERS.

Komitet redakcyjny: uczniowie.

Redaktor odpowiedzialny: kol. Włodzimierz Bretsznajder.

Redaktor naczelny kol. Jan Podczaski.

Członkowie kkol.: Stefan Bktaboski, Tadeusz Gallus, Edward Sokopp, Eugenjusz Szymański, Stanisław Szymański, Leon Kunczewicz i Bronisław Oyrzanowski.

Adres Redakcji: Kutno, Gimnazjum Państwowe im. H. Dąbrowskiego.

Druk J. Celkowskiego w Kutnie.



11025-A

PR



